

Sławomir Tomasz Roch  
[rycerzniebieski@wp.pl](mailto:rycerzniebieski@wp.pl)

„[...] W tym czasie czterech Ukraińców wytoczyło duży karabin, to było coś na kółkach, z dużą lufą, długą na dwa metry, a następnie ustawili na placu, dosłownie naprzeciwko nas, lufą wprost do naszego, długiego rzędu ludzi. Po chwili wystrzelili z tego karabinu, jakby na pokaz. Może chcieli nas w ten sposób jeszcze bardziej przestraszyć, kosztem „Polaczków” nieco się zabawić, albo po prostu próbowali broń, czy w odpowiednim momencie się nie zatnie. Po chwili jeden z tych Uraińców przejechał tą straszną lufą karabinową, po całym naszym rzędzie ludzi, zupełnie tak, jak by do nas celował. Pamiętam, że robił to dokładnie i powoli, niejako wcelowywał się w nas, a przecież patrzyły na to takie dzieci, jak ja i wiele młodszych. To było potworne, naprawdę trudno wyrazić, co człowiek czuje w takim momencie, przecież ta długa lufa wymierzona wprost naszych serc i twarzy, właściwie w każdej chwili, mogła zacząć wyrzucać w naszym kierunku ukraińskie „pocalunki, kwiaty i prezenty”, na naszą ostatnią drogę. W tym momencie ludzie i my wszyscy byliśmy już przekonani, że zaraz przyjdzie po nas śmierć, aby zabrać nas z tego, bez wątpienia łez padołu. **Wciąż było słycać płacz i potężniejącą z każdą chwilą modlitwę. Mój tato zdjął czapkę, a ja bardzo błada, kurczowo trzymałam się spódnicy mojej mamy.** Ta katorga trwała przynajmniej kilka minut. [...]”. Kazimiera Kowalczyk z d. Czerwieniec

### **WSPOMNIENIA KAZIMIERY KOWALCZYK Z D. CZERWIENIEC Z KOLONII KARCZUNEK WOŁYŃSKI W POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NA WOŁYNIU 1940 - 1944**

Nazywam się Kazimiera Kowalczyk z domu Czerwieniec, mieszkam na Ziemi Zamojskiej, woj. Lubelskie. Urodziłam się również na Rostoczu, ale jeszcze tego samego roku moi rodzice Magdalena i Kazimierz Czerwieniec sprzedali swoje gospodarstwo i wyjechali na Wołyń. Tam kupili duże gospodarstwo 12 hektarowe z domem 7 – izbowym oraz innymi niezbędnymi budynkami gospodarczymi, w tym: stodołą, oborą, chlewnią, stajnią i innymi spichrzami. Nasza rodzina była i jest polska, a zamieszkaliśmy pośród Polaków i Ukraińców w kolonii Karczunek Wołyński, gm. Uściług, powiat Włodzimierz Wołyński. Nasza kolonia oddalona była tylko 3 km od Uściługa, mieszkało w niej około 15 rodzin polskich i kilka ukraińskich. Nie przypominam sobie, abym chodziła tam do szkoły, byłam za mała, a potem wybuchła już II wojna światowa i gdy zrobiło się niebezpiecznie rodzice nigdzie mnie samą nie puszczali. W tym czasie nie przypominam sobie żadnego przykładu wrogiego odnoszenia się Ukraińców do nas Polaków, przeciwnie żyliśmy jak Pan Bóg przykazał, zgodnie i bez konfliktów, bywało nie raz, że wspólnie dużo się modliliśmy. W tym czasie normalną sytuacją było małżeństwo mieszane polsko-ukraińskie i nikt właściwie się temu nie dziwił.

W najbliższej rodzinie wszyscy byliśmy i jesteśmy wyznania rzymsko-katolickiego, więc do kościoła chodziliśmy przez lasek na drugą wieś około 5 km, jednak dziś nie pamiętam już jak się nazywała. Nasz dom stał na wzgórzu, a w koło posadzony był duży piękny sad owocowy, w którym było dużo czereśni i jabłoni. Było też dużo malin, jako dziecko czułam się tam bardzo szczęśliwa. Na naszym podwórzu była studnia, przy niej rosło drzewko czeremcha, które latem niezwykle piękny rozsiewało zapach, a w dole była sadzawka w której radośnie taplały się zwykle gęsi. Było u nas naprawdę wesoło, moje starsze siostry: Marianna i Apolonia oraz brat Stanisław, Zdzisław i Marian, którzy byli starsi ode mnie mieli już wtedy wielu kolegów i koleżanki, którzy ich często odwiedzali i urządzali przy tym najróżniejsze zabawy.

Pamiętam jak do naszej kolonii przyszły wojska sowieckie, wydaje mi się, że to było już późną jesienią, żołnierzy było dużo, może nawet 100. Zajęli prawie cały nasz dom dla siebie, a nam zostawili tylko jeden pokój i kuchnię, zaś duży pokój zamienili na zbrojownię, w której na ścianach rzędami wisiały ich karabiny. Sowietci od samego początku byli wobec nas dość przyjaźni, dla przykładu: radzili mojemu tacie jako kułakowi, aby tak jak większość miejscowych ludzi zapisał się do kolchozu. Była wtedy mała szansa, że uniknęlibyśmy

wywózki na Syberię, znajomy oficer sowiecki mówił tak do niego: „**Czerwieniec ty tutaj nie wygrasz, ty się zapisz do kolchozu, bo ty nie wiesz co to znaczy ruski rząd! Jak się zgodzisz sam, to będziesz mógł tu jeszcze zostać i dostaniesz lepszą posadę w kolchozie!**”. Przebieg tej rozmowy słyszałam osobiście, a poza tym rodzice często o tym mówili w naszym domu. Jednak pomimo tego ostrzeżenia, nasz tato był uparty i nie zgadzał się na to. Pamiętam, że właśnie od tego czasu bardzo często przychodziło do nas wezwanie, aby płacić coraz to nowe podatki, dochodziło nawet do tego, że ledwie zapłaciliśmy jeden już musieliśmy płacić następny. Taka to była wolność wyboru w Związku Radzieckim, niszczone nas systematycznie, aż do upadku. Na początek sprzedaliśmy nasze bydło, potem wyprzedawaliśmy już wszystko, co przedstawiało sobą jakąkolwiek wartość, doszło nawet do tego, że sprzedaliśmy naszą bryczkę, a i tak zabrali nam z domu piękny duży zegar ścienny za kolejne podatki. Moja mama wtedy płakała, bo to był bardzo piękny zegar.

W sowieckim raju w krótkim czasie, z ludzi dość zamożnych, szybko zostaliśmy dosłownie zrujnowani. W końcu tato Kazimierz widząc, że nie ma już dosłownie za co żyć, poddał się i napisał podanie do kolchozu. Oficer sowiecki jakiś Lejtnant, wstawił się za tatem i łaskawie przyjęto nas do kolchozu, ponieważ tato był wcześniej oporny nowym formom gospodarowania, otrzymał tylko funkcję pastucha i pasł konie. Upór mojego taty sprowadził na nas jeszcze inne poważne niebezpieczeństwo, Sowieci postanowili bowiem wywieźć całą naszą rodzinę na Syberię. W tym celu przysłali do nas, do domu specjalne papiery, w których nas o tym szczęściu informowali, podając nawet konkretny termin wywózki. Bardzo dobrze pamiętam te dni, gdy rodzice gorączkowo szykowali się do długiej i strasznej drogi, robili w tym czasie pakunki oraz suszyli bardzo duże ilości chleba, popularne suchary i pakowali w worki.

#### **CZERWIEC 1941 ROK**

Pamiętam, że gdy już mieli nas wywieźć, to był już któryś z najbliższych dni po niedzieli, nieoczekiwanie Niemcy Hitlerowskie napadły na Związek Radziecki. Tego dnia siedziałam z mamą i moim rodzeństwem w pokoju, nagle wybuchła bomba obok naszego domu, a druga za stodołą. Bardzo się wszyscy przestraszyliśmy i zaraz uciekliśmy do piwnicy pod domem. W tym czasie w naszym domu nie było już żołnierzy sowieckich, a ponieważ byli jeszcze poprzedniego dnia, sądzę że opuścili nas nocą i przeszli do dużego bunkra, który znajdował się niedaleko naszego domu, tylko około 400 m. Sowieci te potężne bunkry nazywali „toczki”, w naszej okolicy był tylko jeden taki bunkier. Gdy tak siedzieliśmy w piwnicy, do naszego domu wpadł nasz tato z łąki, złapał jednego konia szybko powsadzał nas na wóz i po chwili wraz z innymi ludźmi uciekaliśmy na łąki, które w naszych stronach nazywano: Piatydnie. Wydaje mi się, że to były te łąki, ale już pewności dziś nie mam. Gdy tam przybyliśmy, było już tam bardzo wielu ludzi, a obok Niemcy prowadzili złapanych jeńców sowieckich, dokąd ich prowadzili nie wiem. Na tych łąkach byliśmy krótko, czekaliśmy aż przejdzie front, a potem spokojnie wróciliśmy do naszego domu. Znowu zaczęło się normalne życie, a następne miesiące były bardzo spokojne. Nikt nas w tym czasie nie atakował, nikt nas nie prześladował, dlatego nie przypominam sobie, aby w tym czasie Ukraińcy wyrządzili nam jakąś krzywdę. Nie wyzywali nas i nie śpiewali wrogich Polakom piosenek. Wydaje mi się jednak, że sytuacja zaczęła ulegać gwałtownemu pogorszeniu od lutego 1943 r., mniej więcej bowiem od tego czasu Polacy w naszej kolonii Karczunek Wołyński zaczęli się bać nocować w swoich domach.

Pamiętam, że w zimie nie wiem jednak dokładnie w którym roku, **do naszego domu przyszło powiadomienie, że moje dwie starsze rodzone siostry mają pojechać na roboty do Niemiec. Zarządzenie było przymusowe, a tym którzy mieli odwagę się sprzeciwić groziła za to kara śmierci.** Takie pisma przychodziły do bardzo wielu rodzin polskich w naszej kolonii i w naszej okolicy. Dlatego wszędzie był płacz i lament z powodu odjazdu dzieci i naszej najlepszej często młodzieży. Także mój tato płakał i mówił przy tym: „*Już ich więcej nie zobaczę!*” I rzeczywiście Apolonia lat ok. 15 wtedy, więcej już tata nie zobaczyła,

choć sama szczęśliwie przeżyła i wróciła do wolnej Polski, była już jednak chora i szybko umarła. Przed śmiercią zdażyła mi jeszcze osobiście opowiedzieć, że **Niemcy bardzo źle się z nimi obchodzili, źle ich traktowali. Mścili się na pracujących tam przymusowo Polakach i mówili: „Jak przyjechałeś na ochotnika, to teraz rób i nie licz na nic więcej!”**. Starsza siostra wróciła ze stacji kolejowej, bo się za nią wstawili ludzie, była bowiem nauczycielką.

#### W SŁONECZNEJ ŚWIATŁOŚCI

To było chyba latem 1943 r.! Pamiętam bardzo dobrze, że moja najstarsza siostra Maria, zauważyła na niebieskim, pięknym niebie, duży napis białymi literami. Było właśnie bezchmurne południe i świeciło piękne słońce, a napis umieszczony był pod słońcem, które świeciło nad nim. Kiedy więc po chwili, wszyscy już z wielkim przejęciem, patrzyliśmy na te litery, to widzieliśmy je w słonecznej światłości. Napis był bardzo wyraźny, Maria zaczęła więc czytać z wielkim zainteresowaniem. W tym czasie moja mama i pozostałe moje rodzeństwo w tym także ja, wybiegliśmy na schody naszego domu i widząc ten napis, niektórzy zaczęli głośno płakać i lamentować. To musiało przeszkodzić naszej siostrze, musiało ją rozproszyć tak, że nie zdażyła przeczytać całego napisu i nie zrozumiała o co chodziło w tej informacji, bowiem po chwili napis znikł tak nagle jakby ktoś gąbką starł tablicę szkolną. Moja siostra miała potem do nas wszystkich pretensje z tego powodu i mówiła tak: *„Czegoście tak lamentowali, byłabym wszystko przeczytała i wam potem opowiedziała, a tak ja nie wiem sama do końca, o co chodziło i wy też się teraz nie dowiecie.”* Nie wszyscy jednak widzieli ten napis, dla przykładu nasza sąsiadka pani Miszczakowa, która była Polką. **Ja osobiście też bardzo dobrze widziałam ten napis i potwierdzam, że było to dwie duże liniki, a litery wyrazów były grube. Wydaje mi się także, że litery były drukowane. Nie pamiętam jednak w jakim języku był napis i nie zdołałam też poznać treści zawartej w tych zdaniach!** Następnego dnia ponownie wszyscy obserwowaliśmy niebo, mieliśmy bowiem nadzieję, że to zjawisko, że ten znak na niebie się powtórzy, ale niestety już więcej takich napisów nie zauważyliśmy. Maria miała wtedy około 20 lat, skończone polskie gimnazjum przedwojenne, tak że uczyła w szkole w Uściługu, ale nie wiem czy znała wtedy jakiś obcy język.

#### OGNISTY SŁUP, CZEROWNY SIERP I MŁOT I MIOTŁA

Inne znaki, które pojawiły się na niebie przed rzezią w naszej wiosce i okolicy były jesienią tego samego roku co napis na niebie. Pamiętam, jak pewnego dnia, gdy już było po zachodzie słońca, gdy kończył się dzień i zapadał powoli zmrok, moja rodzina i ja sama również oraz wszyscy sąsiedzi z naszej kolonii zobaczyliśmy na niebie: „Duży słup ognisty!” Spróbuję go teraz opisać tak jak go zapamiętałam: *„To był bardzo dobrze widoczny, ciemno czerwony, po prostu ognisty słup w kształcie długiego, grubego prostokąta, wyglądał jak belka w stodole, z tym że bardzo krwista. Ten słup świecił bardzo wyraźnie na tle czarnego nieba. Słup był pionowy i tkwił w miejscu, nie przemieszczał się, pokazał się ale nie spalał. Ten słup ukazał się w innym miejscu niż wcześniejszy napis, całkiem innym. Dziś nie pamiętam, czy słup łączył się z ziemią. Pamiętam, że ten słup trwał na niebie około 10 minut od momentu kiedy ja go zobaczyłam. Mogę powiedzieć z całym przekonaniem i wiarą, że zarówno wcześniejszy napis na niebie złożony z dwóch linijek, a potem ten krwisty słup, to nie było złudzenie, ja widziałam to naprawdę!”* Poza tym znak ten oglądała cała moja rodzina oraz wielu ludzi z naszej wioski, słyszałam na przykład rozmowy, podczas których nasi niektórzy sąsiedzi pytani w tej sprawie, zapewniali nas że także wyraźnie widzieli ten krwisty słup na niebie. Jestem dla przykładu prawie pewna, że widziała to rodzina Miszczaków.

Pamiętam, że niedługo później po tym słupie, na niebie znów ukazał się kolejny, niezwykle znak. To było tak: kiedy dzień się kończył i robiło się już ciemno, zapadał zmrok a ja byłam w domu, nagle usłyszałam, jak woła nas nasza mama Magdalena tymi słowami: *„Chodźcie prędko dzieci, chodźcie! Zobaczcie, znowu znak nie niebie się pojawił!”* Wybiegłam zaraz z domu wraz z całą moją rodziną i pobiegliśmy do naszej mamy, która właśnie była w naszym ogrodzie, tuż obok domu i robiła chyba w truskawkach. Gdy

spojrzałam w niebo zobaczyłam na własne oczy ten znak, wyglądał następująco: „**To był duży, czerwony sierp, w środku niego znajdował się również czerwony młot!** Można spokojnie powiedzieć: po prostu znany powszechnie symbol jeszcze, nie dawno istniejącego Związku Radzieckiego!” Chcę podkreślić, że ten znak był bardzo dobrze widoczny i znajdował się na niebie około 10 minut, od momentu kiedy go zobaczyłem.” Moja mama medytowała wtedy i załamując ręce mówiła tak: „Co to teraz z nami będzie, te znaki które się pokazują na niebie, zapowiadają coś niedobrego! To będzie jakiś wojna!” Ale właściwie nikt z nas tak naprawdę do końca nie wiedział, co miał oznaczać z zamyśle samego Boga, owy znak sierpa i młota na niebie.

Mniej więcej w tym samym czasie, w każdym razie jeszcze przed rzezią w naszej kolonii Karczunek Wołyński, na niebie ukazała się: „Duża miotła ognista z różek!”. Pamiętam, jak ktoś mi wtedy powiedział, że znów pokazał się jakiś „znak” na niebie. Natychmiast ja i inni z mojej rodziny **pobiegliśmy do naszego ogrodu i rzeczywiście na własne oczy zobaczyliśmy: „To była miotła z ognia, ale nie tak krwistego, jak poprzedni słup, była jaśniejsza!”** Pamiętam, że mama powiedziała wtedy do nas wszystkich tak: „**Módlcie się dzieci bo ta miotła nas wszystkich wymiecie! To już będzie nam koniec, to bardzo niedobry znak!**” Wygląd tej miotły był następujący: „Szeroka u góry, zwieriała się do dołu, by na końcu być już wąska, nie miała jednak drewnianego trzonka. To była po prostu typowa miotła zrobiona z różek brzoźowych. Chcę podkreślić, że różgi widziałam bardzo wyraźnie!”. Widziałam tę miotłę około 5 minut, a potem nagle znikła bez śladu, jej żywy obraz wyrzył się jednak na długo w naszych kresowych sercach.

#### ZNAK TRAWIĄCEGO OGNIA

Był jeszcze jeden niezwykle znak szybkimi krokami zbliżającej się tragedii do naszej kolonii, naszych domów i naszych rodzin. W niedługi czas po opisanych wyżej znakach, znów późnym wieczorem, na dworze było już ciemno, moi rodzice zauważyli, że wybuchł pożar w gospodarstwie mojej ciotki Anieli Wenena i jej męża Ignacego. Osobiście tego nie widziałam, ale znam tę sprawę od moich rodziców, którzy wielokrotnie opowiadali o tym, także mi osobiście, ponieważ bardzo głęboko przejęli się tym kolejnym znakiem z Nieba. Potem opowiadali mi więc tak: „**Widzieliśmy, że bardzo pali się „zagatka” – ściany domu mieszkalnego obłożone grubą warstwą suchej słomy bądź liści i usztywnione deskami i kółkami. Natychmiast wszczeliśmy głośny alarm wśród najbliższych sąsiadów i jak mogliśmy najszybciej pobiegliśmy w stronę płonącego domu, aby ratować ludzi i budynek. Baliśmy się, że wujek i ciocia nic jeszcze nie wiedzą, o grożącym im niebezpieczeństwie! Usneli bowiem pierwszym, twardym snem i mogą nie zdążyć opuścić mieszkania i tak zginąć! Gdy tak pędziliśmy z wiaderkami, byliśmy już w połowie drogi do nich, (trzeba było przebiec na przelaj, przez pola około 500 metrów) nagle, dosłownie nagle ogień zginął, zapadł się pod ziemię, a wszystko wróciło do normalnego porządku! A my przejęci, właściwie przerażeni tak niezwykle zjawiskiem, wróciliśmy wszyscy do swoich domów.**” Czuję się w obowiązku podkreślić, że to nie mogło być zbiorowe złudzenie, mój tato bowiem nie był wtedy sam. Pamiętam, że gdy mi potem o tym opowiadał i gdy rozmyślał o tym z naszymi sąsiadami w naszym domu, to najczęściej powtarzał wtedy tak: „**Żeby był sam, to bym różnie mógł to sobie tłumaczyć, że mi się przewidziało, ale przecież wszyscyśmy widzieli i wszyscyśmy biegli ile sił w nogach, aby pomóc ugasić ten pożar. Było nas przecież kilkanaście osób!**”. Na drugi dzień, gdy rodzice poszli rano oglądać dom, nie znaleźli żadnego śladu po pożarze. Wszystko było w najlepszym porządku!

Moi rodzice pytali także następnego dnia ciotkę i wujka, czy zauważyli coś szczególnego tej nocy, czy widzieli jakiś ogień, ale oni o niczym nic nie wiedzieli i mówili tak: „**Nic nie widzieliśmy, żadnego ognia, spaliśmy tej nocy spokojnie do rana!**” Nawet nie chcieli wierzyć w to, co moi rodzice i inni sąsiedzi im opowiadali, przyjęli to z niedowierzaniem mówiąc: „**To jest niemożliwe! Coś się wam przedstawiło!**”. Kiedy jednak coraz więcej osób opowiadało to samo, byli tym wszystkim coraz bardziej przerażeni i w

końcu zaczęli wierzyć, że jednak coś się działo. Pamiętam bardzo dobrze, że ten pożar był już zimową porą i właściwie tuż przed napadem bandy Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) na naszą kolonię.

#### PIERWSZE OKRUTNE MORDY W NASZEJ OKOLICY

Pamiętam, że także nasi rodzice, zabierali nas wszystkich na noc w pole i chowali w *dziesiątki* - kopy zboża. Gdy pytaliśmy naszych rodziców dlaczego nie możemy nocować w swoim domu, odpowiadali nam zwykle tak: „*Teraz są rozruchy, bandy ukraińskie napadają i zabijają, dlatego musimy się ukrywać. A jak by Was kto znalazł, to nic nie wolno mówić i najlepiej się wcale nie odzywać. Macie siedzieć cicho.*”! Już w tym czasie zdarzały się napady na polskie rodziny i jak już na kogoś napadli, wtedy prawie zawsze wszystkich domowników wymordowali co do jednego. Pierwszą rodziną napadniętą na naszej kolonii była rodzina Józefa Garbatego. Pamiętam jak pewnego dnia od rana ludzie w naszej wsi opowiadali sobie, że zamordowano pana Józefa Garbatego lat ok. 45 Było to tak: w nocy do jego domu przyszedli Ukraińcy i dostali się do środka, zaraz potem zarąbali go siekierą, uderzając w głowę. Część mózgu była na ścianie, widziałam to osobiście jako dziecko, ponieważ moi rodzice poszli tam z innymi ludźmi, aby coś z tym ciałem zrobić, a ja pobiegłam za nimi. To był pierwszy raz w moim życiu, kiedy widziałam zabitego człowieka i to tak tragicznie. Ciało leżało na łóżku, głowa była rozłupana, bowiem mama moja mówiła, że pozbiali ją do kupy. Ja sama gdy zobaczyłam ciało i krew na ścianie, zaraz stamtąd uciekłam. Od tego dnia bałam się takich obrazów i już nie miałam ochoty chodzić w takie miejsca. Rodzina pana Józefa nie została wtedy wymordowana, widocznie ich tam wtedy nie było, a może po prostu zdołali uciec albo byli schowani w jakimś schronie? Nie wiem co się z nimi stało. Pamiętam, że zabity Józef Garbaty był człowiekiem odważnym i silnym, nie obawiał się Ukraińców i nie krył się z tym wcale, powtarzał dla przykładu, że potrafi się obronić, ale jak widać tym razem mu się nie udało.

Druga rodzina polska wymordowana w naszych okolicach mieszkała niedaleko naszej kolonii, ale dziś już niestety nie pamiętam dokładnie gdzie, nie pamiętam też nazwiska tej rodziny. W naszym domu nasi rodzice opowiadali nam, że dom tej pobitej rodziny został napadnięty przez jakąś bandę ukraińską w nocy. W czasie tego najścia w domu była tylko matka chyba z czwórką małych dzieci, było w każdym razie tych dzieci kilkoro. Gdy Ukraińcy dostali się do środka domu mąż był ukryty na „*górcie*” (chyba na strychu ich obory) i wszystko osobiście widział i słyszał, a choć strasznie cierpiał nie był w stanie im pomóc. Tymczasem bandyci wszystkich w domu okrutnie pomordowali, nie wiem jednak w jaki sposób. Byłam za to na pogrzebie ofiar, który był w kościele, przybyło na to żałobne nabożeństwo dużo ludzi. Słysząc było płacz i lament, wszyscy w koło powtarzali, że zabili niewinną matkę z małymi dziećmi. Osobiście widziałam trumny, a wśród nich także małe i nawet jedna była taka malutka. Ludzie bardzo przejęci tym co się stało, wciąż powtarzali między sobą tak: „*Co te dzieci były im winne, nawet to małeństwo?!*”. I dodawali przy tym: „*Teraz musimy wszyscy się mieć na baczności, uciekać na noc z domu, do Uściługa, do ziemiaków, bo to czeka każdego z nas.*”. Ten pogrzeb był chyba latem 1943 r. w kościele, który znajdował się w sąsiedniej wsi, położonej za lasem. Całe lato mieszkaliśmy w swoim domu, robiliśmy żniwa, a na noc wyjeżdżaliśmy do miasta Uściług i tam nocowaliśmy w opuszczonych już kamienicach pożydowskich. Pamiętam, że nie byliśmy sami, tak jak nasza rodzina postępowało wiele innych polskich rodzin z okolic Uściługa, ludzie bali się już napadów ukraińskich na potęgę. My i inni sądziliśmy bowiem, że ponieważ tu stacjonują Niemcy to atak ukraińskich band jest mało możliwy. Cały nasz dobytek był pozostawiony w domu, łącznie ze zwierzętami domowymi.

Pamiętam, że już w 1943 r. Niemcy nie przepuszczali ludzi przez rzekę Bug. Mój tato, ja i moje rodzeństwo chcieliśmy uciekać na spokojniejszą Zamojszczyznę, ale nasza mama zdecydowanie się temu sprzeciwiając, ciągle powtarzała: „*Nie możemy tego wszystkiego zostawić!*”! Argumentując przekonywała nas: „*My nic nikomu nie winni, to do nas nie*

**przyjdą. Z naszej rodziny i kolonii nie ma mężczyzn w lesie, to do nas nie przyjdą bić.**” A kiedy, chyba to było jesienią 1943 r. sytuacja się zaostrzyła, też już chciała uciekać na zachód, tylko że wtedy Niemcy nie przepuszczali już na drugą stronę Bugu. W tej sytuacji musieliśmy pozostać w naszym domu. W tym czasie moja mama i tato pakowali wiele żywności i wiele innych potrzebnych w przyszłości rzeczy, dla przykładu sprzętu gospodarczego i domowego jak maszyna do szycia i zakopywali w obrębie naszego podwórka. Ciągłe mieli żywą nadzieję, że tu jeszcze kiedyś wrócą. Mama chciała się chociaż dostać do Hordła, gdzie miała rodzonego brata Wojciecha Kupiec, tam chciała się zatrzymać na jakiś czas, a potem wrócić na swoje. Kiedy jednak okazało się to niemożliwe zaczęliśmy wszyscy odczuwać narastający lęk przed tym co się miało w przyszłości wydarzyć. Dodatkowo ostatnie niezwykle znaki na niebie, które opisałam powyżej, budziły w nas trwogę i napawały żywym lękiem o naszą niepewną przyszłość.

#### **NAPAD REZUNÓW NA KARCZUNEK WOŁYŃSKI**

Pamiętam bardzo dobrze, że jeszcze przed rzezią do naszego domu przysłała nasza sąsiadka Ukrainka, niestety nie pamiętam dziś jak miała na imię i nazwisko. Wiem jednak, że jej dom oddalony był od naszego około 500 metrów, a jej syn miał na imię Wołodia i wiele razy bywał w naszym domu, bowiem zalecał się do mojej starszej siostry Marii. Ta dobra kobieta ukraińska tak ostrzegała moich rodziców: *„Miewam złe sny, w których naszą kolonię i innych Polaków w okolicy, Ukraińcy też pomordują i nie zostawią was żywych. Lepiej gdzieś uciekajcie.*”.

19 lutego 1944 r. z samego rana banda UPA zaatakowała naszą kolonię i jej polskich mieszkańców. Atak rozpoczął się od domu Wenenów!!! Pamiętam jak mój tato krzyknął do mamy: *„Szybko zbieraj dzieci, bo napadła nas banda! Już pali się dom Aniarki i Ignacego!*”.

Mama zaraz zabrała nas na wóz, tam dała nam pierzyny i pędem, co koń wyskoczy uciekaliśmy do miasta Uściług. Gdy wyjeżdżaliśmy z naszego podwórka, dopiero wtedy na własne oczy zobaczyłam ten ogień, który już objął cały dom mojej cioci Aniarki. Z stamtąd też dochodził straszny pisk, okrutnie męczonego człowieka, jeszcze nie wiedzieliśmy że właśnie mordują naszego wujka Ignacego, choć oczywiście domyślaliśmy się tego, ale i tak nie byliśmy im wtedy w stanie pomóc. Jak dziś pamiętam jak gwałtownie tato poganiał konia i jak szybko uciekaliśmy. Ten głęboki ślad w sercu, który towarzyszy mi już kilkadziesiąt lat, to prezent od ukraińskich siepaczy, niech im ziemia lekka będzie. Ponieważ konie niemal cwałowały i to przez cały czas, szybko dojechaliśmy do rogatek, wydawałoby się bezpiecznego dla nas miasta. Gdy oglądęłam się do tyłu, to nad naszą kolonią, widziałam już bardzo dużą łunę ognia, wszystko się paliło, słyszałam też strzały karabinowe!

Moja ciocia Aniela Wenen, która przeżyła napad na ich dom, po wojnie w naszym domu opowiadała mi osobiście, jak Ukraińcy oprawcy napadli na nich, było to tak: *„Ukraińcy o świcie podpalili nasz dom, gdy zobaczyłam ogień, zdołałam się ukryć w ziemiance. To był taki prowizoryczny schron, tymczasem mój mąż Ignacy nie zdążył się tam schronić, ponieważ był kaleką i miał jedną nogę drewnianą. Kiedy Ukraińcy go złapali, od razu zaczęli ostro przesłuchiwać. Wszystko dokładnie słyszałam, bowiem moje schronienie było niedaleko nich. Ukraińscy bandyci widząc, że jest w domu sam, zaczęli krzyczeć do niego wyraźnie zdenerwowani: „Gdzie reszta rodziny, gdzie są twoi synowie?”. A wtedy mój mąż wyraźnie wystraszony też krzyczał do nich rozpaczliwie tak: „Nie mam rodziny, nie mam synów. Jestem sam.”. Oni jednak widać mu nie uwierzyli, bo strasznie zaczęli się na nim mścić, najpierw połamali mu ręce a potem obie nogi. Tak umęczonemu, na wpół żywego wrzucili do ognia. Mój mąż, a twój wujek Kaziu zginął wtedy w płomieniach w strasznych męczarniach. Ja tymczasem siedziałam w ukryciu przez dwa dni i bardzo cierpiałam po stracie mojego ukochanego męża Ignasia. Po pewnym czasie wyszłam na zewnątrz i zobaczyłam, że wszystko zostało spalone, a po moim mężu nie było nawet śladu.*”.

Nie pamiętam jednak co się działo dalej z moja ciocią, po tym jak wyszła ze schronu, pewnie w jakiś szczęśliwy sposób dostała się do Polski.

## BANDEROWSKI KOSZMAR W UŚCILUGU

Tymczasem ja i moja rodzina, gdy tylko dojechaliśmy do rogatek miasta Uściług, utknęliśmy w długim korku furmanek pełnych uciekających ludzi, zupełnie tak jak my. Okazało się, że na drewnianym moście stoją Niemcy i sprawdzają wszystkich wjeżdżających do miasta. W tym czasie za nami ustawił się już długi korek, może nawet taki, jaki był jeszcze przed nami. Gdy zbliżyliśmy się już do tego mostka do naszej furmanki podeszło dwóch uzbrojonych chłopów ukraińskich i szli dalej z nami, prowadząc nas tam gdzie mieli rozkaz nas odprowadzić. W ten sam sposób eskortowane były wszystkie furmanki z uciekinierami. Zanim to się jednak stało do naszej furmanki podeszła niezauważona nasza znajoma sąsiadka Ukrainka, która wzięła za rękę mojego starszego brata Mariana i powiedziała do niego cicho: „*Chodź szybko i nic się nie odzywaj! To ci uratuję życie!*” Marian zaufał jej i poszedł, a ona odprowadziła go gdzieś na bok, a potem wróciła jeszcze raz, tym razem po mnie. **Złapała mnie za rękę i powiedziała tak: „Chodź szybko, uciekaj, bo was wybiją!”** Jednak ja się wyrwałam i krzyczałam przy tym: „**Ja chcę być z mamą, jak mamę zabiją, to i niech mnie zabiją!**”. Mama moja też mnie gorąco namawiała, abym uciekała z tą Ukrainką, mówiła tak: „*Uciekaj tam do Mańka, bo zginiesz!*”. Gdy ja upierałam się, że nie chcę iść, że nie odejdę od mojej mamy, zauważył te targi jeden z ukraińskich żołnierzy, natychmiast podleciał do tej Ukrainki i uderzył mnie kolbą po rękach, a potem brutalnie odepchnął w stronę naszej furmanki. Żołnierze Ukraińscy chcieli chłopca zabrać z powrotem do naszej furmy, ale ta Ukrainka ochroniła go, mówiąc że to jej syn. Marian po wojnie opowiadał mi to osobiście, mówił tak: „**Kiedy banderowcy chcieli mnie wrócić na naszą furmankę, nie pozwoliła na to, upierała się, że jestem jej dzieckiem.**”. Nie są to jedyne dowody na to, że eskortowali nas Ukraińcy i że to oni planowali straszną masową rzeź, setek niewinnych Polaków. Poznałam ich także po ich mowie, mówili bowiem bardzo dobrze i swobodnie po ukraińsku.

Pamiętam, że eskortujący nas partyzanci – bandziory przyprowadzili nas na jakiś plac miasta, przy jakiejś drodze i tam ustawili nas wszystkich w szeregu, furmanka przy furmance, a następnie uważnie nas pilnowali. Zebrało się nas około 40 furmanek, a może nawet więcej, na każdej z nich całe polskie rodziny, starsi, młodszy i dzieci. Ludzie musieli być nie tylko z naszej kolonii, ale z całej najbliższej okolicy, a przecież to byli już tylko ci, co zdołali uciec z życiem spod rezunowej siekiery. Siedzieliśmy cały dzień i nigdzie się nie ruszaliśmy, a przecież to była zima, na dworze był duży mróz, przynajmniej kilkanaście stopni poniżej zera. Mieliśmy pewność, że pilnujący nas chłopcy to Ukraińcy, dlatego ludzie byli coraz bardziej niespokojni w oczekiwaniu na to co ma się wydarzyć. Niektórzy widząc przechodzących Niemców starali się z nimi rozmawiać i prosili, aby nas wzięli pod swoją ochronę, kiedy jednak zauważyli, że żołnierze niemieccy w ogóle nie reagują na ich prośby mówili między sobą zatrwożeni tak: „**Oni nic nam nie pomagają, ale jeszcze nas pilnują, abyśmy czasem stąd nie puciekali. Oni muszą być w zмовie z Ukraińcami.**”. Nasza sytuacja była więc bardzo dramatyczna, ludzie obawiali się, że nas tu Ukraińcy za zgodą Niemców wszystkich wybiją, ludzie gorzko powiadali: „**Tutaj już nikt nie uratuje, bo Niemcy są w zмовie z Ukraińcami i nas tutaj dziś wybiją!**”. Ludzie byli wyraźnie zrezygnowani, opuszczali ich siły, bardzo się przy tym bali i coraz bardziej żarliwie się modlili, oczekując już właściwie zbiorowej egzekucji.

Pamiętam, że gdy na dworze powoli zaczęło robić się szarawo, na środek placu wyszedł jeden z tych pilnujących nas Upowców i wydał rozkaz, aby wszyscy zeszli z furmanek i stanęli rzędem obok swoich wozów. Ja i cała moja rodzina posłusznie ustawiliśmy się rzędem przy naszej furmance. Moją dwuletnią siostrzyczkę Leokadię, moja mama trzymała na rękach. Wtedy dwóch, do tej pory stojących przy naszym wozie Ukraińców przystąpiło do sprawdzania naszych furmanek, czy czasem nikt się nie ukrył w pościeli i między innymi rzeczami. Ludzie już bardzo płakali i jeszcze żarliwiej modlili się o zmiłowanie i życie dla nich i ich rodzin, wołali do Boga, aby ich ocalił od niechybnej śmierci z rąk ukraińskich siepaczy. W tym czasie czterech Ukraińców wytoczyło duży karabin, to

było coś na kółkach, z dużą lufą, długą na dwa metry, a następnie ustawili na placu, dosłownie naprzeciwko nas, lufą wprost do naszego, długiego rzędu ludzi. Po chwili wystrzelili z tego karabinu, jakby na pokaz. Może chcieli nas w ten sposób jeszcze bardziej przestraszyć, kosztem „Polaczków” nieco się zabawić, albo po prostu próbowali broń, czy w odpowiednim momencie się nie zatnie. **Po chwili jeden z tych Uraińców przejechał tą straszną lufą karabinową, po całym naszym rzędzie ludzi, zupełnie tak, jak by do nas celował. Pamiętam, że robił to dokładnie i powoli, niejako wcelowywał się w nas, a przecież patrzyły na to takie dzieci, jak ja i wiele młodszych. To było potworne, naprawdę trudno wyrazić, co człowiek czuje w takim momencie,** przecież ta długa lufa wymierzona wprost naszych serc i twarzy, właściwie w każdej chwili, mogła zacząć wyrzucać w naszym kierunku ukraińskie „pocałunki, kwiaty i prezenty”, na naszą ostatnią drogę. W tym momencie ludzie i my wszyscy byliśmy już przekonani, że zaraz przyjdzie po nas śmierć, aby zabrać nas z tego bez wątpienia łez padolu. Wciąż było słycać płacz i potężniejącą z każdą chwilą modlitwę. **Mój tato zdjął czapkę, a ja bardzo błada, kurczowo trzymałam się spódnicy mojej mamy. Ta katorga trwała przynajmniej kilka minut.** Nie przypominam sobie, czy zabrali nam wtedy konie. I właśnie wtedy, w szalonym pędzie wjechał na plac konno, jeszcze inny ukraiński partyzant i zaczął głośno krzyżeć: „*Na pomoc, na pomoc!*”. W tym momencie zrobił się duży popłoch między pilnującymi nas banderowcami-bandziorami, szybko zostawili nasze furmanki, ciężki karabin załadowali na wóz i odjechali w kierunku naszej wsi Karczunek Wołyński, gdzie właśnie toczyła się ostra bitwa partyzancka. Jak się później dowiedziałam nasi wspaniali AK-owcy przyszli z pomocą mordowanym naszym sąsiadom, dając wtedy atakującym Ukraińcom ciężkie baty.

Dowiedziałam się tym już po wojnie, w naszym domu w Siedliskach od Polaka, pana Józefa Szewc, który osobiście opowiadał mojej mamie, jak on sam i jego towarzysze broni z oddziału Armii Krajowej przyszli nam ze zbawienną pomocą. Pan Józef mówił wtedy tak: **„*Jakby nie nasza partyzantka, to nikt by z Was nie przeżył, bo by Was tam w Karczunku, a potem na tym placu w Uściługu wszystkich wybili!*”.** Opowiadał przy tym, że tego dnia o mało całkowicie nie zlikwidowali atakującego, ukraińskiego oddziału, w każdym razie sporo tego dnia banderowców wybili, mówił tak: „*Z naszego oddziału zginęło tylko parę żołnierzy, natomiast zrobiliśmy wtedy dobrą robotę, dużo ich żeśmy natłukli i gdyby nie ta pomoc z Uściługa, to bylibyśmy wszystkich ich tam wybili.*”. Po wojnie pan Józef Szewc także osiadł w naszej wsi Siedliska pod Zamościem i tu założył rodzinę, niestety już nie żyje. Zanim jednak zmarł poinformował nas, że jego oddział Armii Krajowej atakował od strony lasów, położonych w okolicy Piatydnii.

#### **MORD W PARKU**

Kiedy już Ukraińcy zostawili nas samych na tym miejskim placu Uściługa, zapadł już zmrok. Mimo to wszyscy pośpiesznie rozjeżdżali się gdzie kto mógł, każdy w inną stronę. Szukaliśmy sobie bezpiecznego schronienia, a ponieważ Niemcy zamknęli most na rzece Bug, nie mogliśmy dostać się na drugą stronę. Jednak ludzie czuli, że nie mają nic do stracenia, że Ukraińcy prawie na pewno jeszcze po nich wrócą, a wtedy nic ich nie uratuje przed niechybną śmiercią, dlatego wiele rodzin przeprowało się przez wodę wpław, jak kto umiał. Gdzie było płytko ludzie przechodzili na drugi brzeg cali i zdrowi, jednak większość z uciekinierów nie znała rzeki, dlatego wielu ludzi potopiło się, wiem o tym ponieważ mówiła mi o tym moja mama. Tymczasem ja i moi rodzice oraz pozostałe rodzeństwo, schroniliśmy się w mieście, blisko parku w pożydowskiej kamienicy. Rodzice planowali przenocować jakoś do rana, a potem ruszyć gdzieś dalej w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. W tej kamienicy oprócz nas mieszkała już wcześniej, jedna rodzina ukraińska oraz jedna polska, której ci Ukraińcy obiecali, że będą ich ochraniać, podając w razie czego za swoich. Ci Polacy byli nam bardzo dobrze znani, ponieważ byli naszymi sąsiadami z kolonii Karczunek, to był pan Kazimierz Miszczak i jego żona.

Gdy tylko tam zamieszkaliśmy, ukraińska gospodyni od razu ostrzegła nas, że nie może nam w niczym pomóc, ponieważ już jest nas za dużo, a ona już jednej rodzinie polskiej obiecała pomoc. Tłumaczyła się, że już więcej nie może nas przyjąć, aby się nie narażać i abyśmy czasem wszyscy nie zginęli. Nie wyгнаła nas jednak, powiedziała tak: „*Jeśli chcecie zostać, możecie. Musicie jednak radzić sobie sami.*”. Ledwie godzinę później do tej kamienicy przyszło dwóch uzbrojonych banderowców i weszli do pokoju, w którym przebywała cała nasza rodzina. Pamiętam bardzo dobrze, że gdy tylko weszli ogarnął nas straszny lęk, ja sama czułam, że zbliża się nasza śmierć i chociaż byłam jeszcze dzieckiem, domyślałam się, że nas tutaj wybiją. Po chwili usłyszałam głos naszego taty, który jeszcze w pokoju, zaczął prosić tych bandytów tak: „***Darujcie nam życie, my nikomu nic nie winni.***”. Wtedy jeden z tych partyzantów ukraińskich tak powiedział w języku ukraińskim: „***Paszol! Ty z dziećmi tutaj, a syn twój w lesie!***”. Zaraz po tych słowach jeden z nich chwycił tata za ramię, skierował w jego stronę karabin i kazał mu iść bez sprzeciwu naprzód, w tym czasie drugi wziął z kolei moją mamę i poszli za nimi, wychodząc gdzieś z kamienicy. W tym momencie mój starszy brat Zdzisław szybko wybiegł z tego pokoju i kamienicy na dwór, a ja instynktownie pobiegłam zaraz za nim. Zdzisław uciekł do drewnutni, która stała obok kamienicy, oddalona około 50 metrów i zaczął zakopywać się w drzewie. Widząc co on robi, także i ja zaczęłam się okładać porąbanymi kawałkami drzewa, to były takie zwykłe „*polana*”, jakimi się zwykle pali w piecu, a ostatnio coraz częściej w kominkach.

Z tej kupy drzewa mogliśmy swobodnie obserwować przez szpary w ścianie szopy park i dlatego jesteśmy naoczniymi świadkami tego wszystko co się tam wydarzyło, a było tak: zobaczyliśmy, że na brzegu parku, około 200 m od szopy, w której byliśmy ukryci, stało tych dwóch Ukraińców, a z nimi nasi rodzice. **Gdy Ukrainiec szykował się strzelać naszego tatę, mój tata poprosił tak: „Chcę się przeżegnać.”. Widziałam jak zdjął czapkę i włożył pod pachę i w tym momencie bandyta strzelił mu w tył głowy, a tato od razu upadł. Nie zdążył się nawet przeżegnać. W tym samym momencie drugi Ukrainiec strzelił w tył głowy mojej mamie i ona też padła martwa!** Gdy już zabili naszych rodziców, zobaczyliśmy z bratem że kaci wracają z powrotem do kamienicy, z której my już zdążyliśmy uciec. Jednak teraz dopiero zaczęliśmy się bać jeszcze bardziej, obawialiśmy się bowiem, że widząc naszą ucieczkę, złączą nas szukać, a gdy nas tu znajdą, niechybnie zginiemy tak jak nasi rodzice. Gdy tak przeżywaliśmy, drżąc o własne życie, zobaczyliśmy jak prowadzą naszego brata Stanisława lat ok. 15, w to samo miejsce kaźni. Gdy ci dwaj prowadzili go, słyszałam jak brat prosił ich tymi słowami: „*Darujcie mi życie, oddam wam wszystko co mam, mój złoty zegarek!*”! **Bandyci nic się jednak nie odzywali i kiedy przyprowadzili go do ciał zabitych rodziców, w ten sam sposób, co wcześniej strzelili mu w tył głowy!**”.

Gdy tak siedzieliśmy z bratem przez noc w tej drewnutni, widzieliśmy jeszcze wiele, w taki sam sposób wykonywanych egzekucji na Polakach przez ukraińskich rezunów. **Właściwie co chwilę inni Ukraińcy - upowcy, przyprowadzali nowe ofiary i z zimną krwią strzelali im w tył głowy. Strzelani Polacy nie wrywali się, a oni odchodzili i przyprowadzali wciąż nowych.** Po pewnym czasie zrobiło się trochę ciszej i już tylko od czasu do czasu słychać było po kilka wystrzałów, dochodzących z tego samego parku, gdzieś tam z wnętrza. To ginęły prawdopodobnie ostatnie polskie ofiary, tej strasznej Uściłudzkiej rzezi! Gdy jeszcze była ciemna noc, a wszystko ucichło zupełnie, mój brat Zdzisław tak do mnie powiedział: „*Uciekajmy stąd, bo jeszcze nas znajdą.*”. Wtedy uciekliśmy do ubikacji, która stała trochę dalej od parku i tam w straszliwym mrozie siedzieliśmy do rana. Pamiętam, że tak zmarzłam w nogi, szczególnie w palce i stopy, że nie byłam w stanie iść już sama. Tymczasem brat Zdzisław, jak tylko zrobił się dzień, wyszedł z ubikacji, aby zobaczyć się dzieje dokoła i gdzie można dalej bezpiecznie uciekać. Najpierw udał się jednak do parku, tam gdzie zostali zastrzeleni nasi kochani rodzice. Zobaczył wtedy ciało naszego taty i brata oraz ciała wielu innych ludzi. Moja mama opowiadała mi po wojnie osobiście, że jacyś ludzie wykopali niedługo po masakrze dół, zaraz obok miejsca ich kaźni i wszystkie ofiary tam właśnie zostały zakopane. Tymczasem mój brat tam też spotkał naszą niedawną sąsiadkę

z pochodzenia Ukrainkę, która zapytała go przyjaźnie: „Czy tylko ty przeżyłeś, czy może jeszcze ktoś się uratował?”. Wtedy powiedział o mnie oraz dodał, że nie jestem w stanie już iść o własnych nogach. Wtedy ona dała mu sanki, aby mnie przywiózł. Gdy znalazłam się w jej domu, tam zobaczyłam moją mamę, żyła jeszcze ale jej stan był bardzo poważny. Kula weszła w tył głowy, nie naruszyła jednak cudownie mózgu oraz rdzenia kręgowego, ale wychodząc przodem rozerwała mamie szczękę oraz mocno poszarpała lewą stronę twarzy, krótko mówiąc jej twarz była straszliwie okaleczona, prawie zmasakrowana. Okazało się także, że przeżyła także moja siostra Maria oraz malutka Leokadia.

Teraz napiszę parę słów o tym co się właśnie działo z pozostałymi członkami naszej rodziny, jak to się stało, że przeżyli i mogliśmy się znów spotkać. Moja najmłodsza siostra Leokadia, która miała zaledwie dwa latka, po wyprowadzeniu mamy przez Upowców z pokoju, pozostawiona sama dzięki Opatrzności Bożej weszła za piec. Może dlatego, że tam było po prostu ciepło i usnęła spokojnie aż do samego rana. Nawet pozostali mieszkańcy domu nie wiedzieli o jej obecności, dopiero rano gdy dziecko zgłodniało, zaczęło płakać i wtedy zostało odnalezione. W ten sposób, wręcz cudownie zostało przy życiu. Straszne chwile natomiast przeżyła druga moja siostra, Maria lat ok. 21. Po mojej i brata ucieczce, ona została w pokoju tylko ze Staszkiem, a kiedy przyszedli i po nich, brata wzięli ze sobą, a ona podała się za Ukrainkę. W tym momencie miała przy sobie wyrobione papiery ukraińskie, które załatwił jej nasz sąsiad Wołodia, starający się o jej rękę. Gdy Ukraińcy zobaczyli dokumenty, zaczęli ją długo badać i wypytywać na wszystkie strony, chcieli sprawdzić, czy rzeczywiście jest ukraińską dziewczyną. Przebieg tego straszego przesłuchania opowiadała mi osobiście i to nie raz, już po tej stronie rzeki Bug, mówiła tak: „**Musiałam im opowiadać jak wyglądają i przebiegają wszystkie najważniejsze uroczystości w Cerkwii ukraińskiej, takie jak: śluby, chrzty i pogrzeby. Oprócz tego musiałam się przeżegnać po ukraińsku, powiedzieć pacierz oraz zaśpiewać pieśni ukraińskie.**”. W każdym razie, na podstawie tego co opowiadała, poznałam, że to badanie było długie i straszne, w końcu ją zostawili, ale zapowiedzieli, że jeszcze ktoś tu może do niej wpaść. Maria ukryła się więc na strychu tej nieszczęsnej kamienicy, a ponieważ była przecież zima, mrozy, poważnie się przeziębiła. Oprócz tego była bardzo zastraszona, a to co przeszła naruszyło poważnie jej serce. Gdy potem w końcu przedostaliśmy się na drugą stronę Bugu, żyła jeszcze tylko dwa może trzy miesiące i zmarła w szpitalu w Hrubieszowie, tam na cmentarzu została też pochowana.

#### **PRZEPRAWA PRZEZ BUG**

Zanim jednak znaleźliśmy się we wschodniej Zamojszczyźnie czekały na nas jeszcze różne przygody, będąc pod opieką Ukrainki, która okazała się naprawdę dobrym człowiekiem, wciąż groziło nam śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony ukraińskich nacjonalistów. I choć Ukrainka pomogła nam jak mogła, byliśmy u niej tylko jeden dzień, ponieważ już wieczorem nasza dobrodziejka powiedziała tak: „Idźcie dzieci gdzie chcecie, bo ja już nie mogę się wami dłużej opiekować, bowiem w szóstym domu od nas, Ukraińcy też ochraniali jakąś polską rodzinę i ktoś się o tym dowiedział. Zaraz potem był napad na ten dom. Ktoś, prawie na pewno Ukraińcy bandery, wrzucili do środka domu granat, od którego wybuchu zgineli wszyscy, którzy byli właśnie w domu i Polacy i cała rodzina ukraińska, która ich przyjęła!”

Nie mieliśmy pretensji do tej ukraińskiej kobiety, ani teraz jej nie mamy. Rozumieliśmy, że w tak trudnych i niebezpiecznych czasach, ma obowiązek chronić przede wszystkim swoją najbliższą rodzinę. Tym bardziej, że mimo wszystko pozwoliła zostać w swoim domu naszej ciężko rannej mamie, nas tym czasem odprowadziła, aż po sama rzekę Bug. Tam przenocowaliśmy w jednej z pożydowskich kamienic do samego rana, a ona była z nami przez całą noc. Radziła nam przy tym, że gdyby nas ktoś znalazł tutaj i pytał o cokolwiek, to najlepiej nic nie mówić, nic się nie odzywać. Jednak nikt nas tej nocy nie niepokoił. Rankiem zaś dobra Ukrainka poszła pod most i tam umówiła się z furmanami, którzy przewozili piach z jednej strony rzeki na drugi, aby przewieźli i nas ukrytych na

wozach. Zgodzili się i zagrzebano nas w piachu, a dodatkowo przykryto nas gałęziami i tak zamaskowanych przewieźli nas odważni, dobrzy ludzie do Zosina. Tam zatrzymaliśmy się u jakiś dobrych gospodarzy i przebywaliśmy przez pewien czas.

Po około dwóch tygodniach gospodarze dowiedzieli się, że mamy rodzinę w okolicach Hrubieszowa i dali im znać. Zaraz mój wujek Wojciech Kupiec przyjechał po nas furmanką i zabrał nas do swojej wsi Strzyżów do swojego domu. W końcu zebrało się nas tam 11 dzieci, a prawie wszystkie to sieroty. Tam przezimowaliśmy do wiosny 1944 r. Tymczasem ta sama Ukrainka, tak jak nas przerwuciła przez Bug tak i naszej mamie pomogła, a stamtąd ktoś zaraz odwiózł ją do szpitala w Hrubieszowie. Nasza mama była już nieprzytomna, a rana zagrożona była poważnie gangreną. Dopiero po pół roku, nasza mama dowiedziała się przez kogoś, że my, jej dzieci jesteśmy w Strzyżowie, u jej rodzzonego brata i bezpiecznie czekamy na jakieś wieści o jej losie. Prosiła lekarza wtedy bardzo, aby mogła się z nami zobaczyć i karetka pogotowia przywiozła ją do nas do Strzyżowa na jedną godzinę. Cóż to było za spotkanie, radości i szczęściu ze spotkania po takim koszmarze nie było końca, ale niedługo znowu mamę zabrali do szpitala bo wciąż potrzebowała opieki lekarskiej. Na razie więc byliśmy pod czułą opieką naszego wujka, aż do jesieni 1944 r., kiedy to nasza mama wypisała się już silniejsza ze szpitala i zabrała nas dalej na zachód do wsi Niedzieliska koło Zamościa. Tam zamieszkaliśmy w naszym dawnym domu, jako komornicy.

Pamiętam jak tej pierwszej zimy bardzo głodowaliśmy i ledwie co mogliśmy przeżyć z dnia na dzień. To były dni, kiedy musieliśmy bardzo ciężko pracować, aby móc przeżyć. **Było już tak ciężko, że mojej mamie przyśniło się, że jeśli nie poprosi o chleb dobrych ludzi, zginiemy z głodu i nie ostaniemy się. Nie było rady, poszliśmy po proszonym i dobrzy ludzie pomogli**, tak że przeżyliśmy i nie pomarliśmy. Tymczasem wiosną 1945 r., jako repatrianci zza Bugu otrzymaliśmy gospodarstwo we wsi Siedliska koło Zamościa i tam zamieszkaliśmy. Na wschodzie zostawiliśmy 12 ha ziemi oraz duży dom i piękne zabudowania gospodarcze, tu otrzymaliśmy 6 ha ziemi oraz stary, drewniany dom. Jednak dzięki Bożemu błogosławieństwu żyjemy szczęśliwie do dziś i pracujemy jak Pan Bóg przykazał zagospodarowując tę ziemię, z pożytkiem dla nas wszystkich.

Dziś mam już dość sędziwy wiek i moje życie powoli zbliża się, ku zasłużonej starości. Moim ogromnym pragnieniem jest, aby jeśli to będzie tylko w przyszłości możliwe, **przenieść szczątki mojego umiłowanego taty Kazimierza Czerwieniec i brata Stanisława oraz pozostałe ofiary, tej strasznej rzezi Uściludzkiej na poświęconą ziemię, na katolicki cmentarz**. Razem z moją mamą z serca przebaczymy tym, którzy wymordowali bestialsko naszych mężów i nasze rodziny, jednak gorąco prosimy, aby ogromne męczeństwo naszych bliskich i szeroko rozlana danina ich krwi nie zostały zapomniane i zmarnowane przez nowe, młode pokolenia naszych rodaków. Niech to ogromne cierpienie będzie przestrogą dla wszystkich, szczególnie dla Polaków i Ukraińców, aby nie powtórzyły się znów Kainowe dni, gdy historia ponownie zatoczy się kołem.

Powyższa relacja, którą osobiście podyktowałam panu Sławomirowi Roch w moim domu w kwietniu 2003 r., została mi przeczytana po przepisaniu, a zawarte w niej treści, potwierdzam własnoręcznym podpisem:

Kazimiera Kowalczyk